



CISZA POŻEGNANIA Z WILKINSON

Jakiż dziwny był mój los.

Zawsze sam.

Siedzący wśród tylu kobiet.

Nigdy w centrum.

Tylko gość.

Prawdę mówiąc, ta rola nigdy mi nie przeszkadzała.

Było coś innego, co zawsze przyciągało moją uwagę.

Coś, co kobiety biorą bez pytania.

Nie pieniądze.

To zawsze była najmniej interesująca część.

Biorą uwagę.

Ciekawość.

Myśli.

Okruchy czasu.

Całe porcje twojej energii poznawczej.

I najczęściej robią to, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Pierwsza zasada zawsze była ta sama.

Rozśmieszyć je.

Ale nie robiąc z siebie błazna.

Bo między humorem a głupotą jest wielka różnica.

Pierwszy otwiera rozmowę.

Druga ją zamyka.

W przeciwnym razie nawet najbardziej elegancka kolacja staje się w końcu niewiele lepsza od posiłku w fast foodzie.

Wtedy zacząłem wyklądać moją osobistą antropologiczną teorię stali.

Miałem nadzieję, że zabrzmie wiarygodnie.

Niekoniecznie, że mi uwierzą.

Wyobraziłem sobie odległy poranek.

Pewien mężczyzna wyszedł z jaskini na romantyczną schadzkę.

Ale jego towarzyszką nie miała zamiaru go puścić.

Szła za nim przez las.

Chciała wiedzieć, dokąd idzie.

Z kim.

I po co.

W tamtych czasach wszyscy byli wolni, a socjologowie nie wymyślili jeszcze rozwiązań.

W pewnej chwili wpadł we wściekłość.

Podniósł kamień i rzucił nim w stronę kobiety, żeby ją przegonić.

Kamień uderzył w skałę.

Iskra.

Potem następna.

Potem dym.

Resztę zrobił wiatr.

I narodził się ogień.

Romantyczna schadzka natychmiast się skończyła.

To, co się wydarzyło, było o wiele zbyt ważne.

Nie opisywał tego jeszcze żaden podręcznik.

Nawet instrukcje Amazona.

Trzeba było to obserwować.

Zrozumieć.

Wykorzystać.

Kobiety przy stole słuchały w milczeniu.

Nikt nie jadł.

Kelner musiał zanieść zupy z powrotem do kuchni i podgrzać je po raz drugi.

Potem wydarzyło się coś jeszcze ciekawszego.

Kilka par siedzących przy sąsiednich stolikach przysunęło do nas krzesła.

Przypominało to przedstawienie teatralne.

A ja chciałem je tylko rozśmieszyć.

To był moment, w którym przestałem być wiarygodny.

A zaczęto mi wierzyć.

Opowiadałem historię, której nikt nigdy nie spisał.

Możliwą historię naszych przodków.

Przerwałem.

Spojrzałem na Maggy.

„Mam mówić dalej?”

Nie zawahała się ani sekundy.

„Tak, ty wspaniały sukinsynu”.

I wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Potem mówiłem dalej.

Dzięki ogniovi kobieta zaczęła rozumieć, że to odkrycie można wykorzystać do przygotowywania jedzenia.

Ciepło zmieniało smaki.

Przemieniało samą naturę.

Niepostrzeżenie średnia długość ludzkiego życia, która ledwie sięgała dwudziestu lat, powoli przesuwiała się ku czterdziestu.

Ogień ją podwoił.

Zakażeń bakteryjnych było coraz mniej.

Infekcje się cofały.

Ludzkie ciało zyskiwało czas.

Potem, pewnego zwyczajnego popołudnia przed jaskinią, ta sama kobieta podniosła kilka kamieni.

Przyjrzała się im z bliska.

Uderzyła jednym o drugi.

Zbadała je.

Bez wielkich pieców.

Bez hut.

Bez inżynierów.

Rozpoczęła długą drogę, która w końcu miała doprowadzić do metalu.

A później do stali.

Dlatego gdyby nie kobieta, nie byłoby mnie tu dzisiaj.

Nigdy bym was nie poznał.

Nigdy bym was nie docenił.

Nigdy nie potrafiłbym zawrzeć w pożegnaniu tego, kim się stałem.

Przy stole zapadła cisza.

Cisza inna niż wszystkie.

To nie była cisza oczekiwania.

To była cisza pożegnania.

Spojrzałem na Maggy.

Spojrzałem na jej córkę.

Spojrzałem na jej wnuczki.

I zrozumiałem, że nie żegnam się z rodziną.

Żegnam się z historią.

Rodzino Wilkinson

Nie ma za co.

Wstałem i odszedłem.

Bo nigdy nie umiałem znieść łez kobiety.

Ferdinando